№ 31. 31. Lipca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z burzliwej doby.

Historja dwóch lat 1861—1862 przez Z. L. S. Część pierwsza. Rok 1861. Tom II. Styczeń—Maj.

II. Goreczaków przypłacił cały ten ruch życiem — nie, jak pisze autor, podług fantastycznego opowiadania Berga, dla tego, że go zabiły zgryzoty sumienia za rzeź kwietniową — ale ponieważ, jak widać z całej książki, przestarzałego generała zmęczyły niezwykłe wysiłki i dobiła długo powstrzymywana wściekłość z powodu przymusowego upokorzenia i niewdzięczność cara, podniecana przez klikę sztabowych generałów. Zdawałoby się, że autor, wobec tak przez niego poniewieranego „niedołężnego“ moskiewskiego kniazia, pokaże nam teraz w całej wspaniałości „olbrzymią postać“ Wielopolskiego, którego energja, podług p. Z. L. S. przymusiła Gorczakowa do „ocalenia porządku w krwawem starciu“ (Str. 360), że użyjemy plastycznego wyrażenia samego Wielopolskiego. Zdawałoby się, że teraz zobaczymy w jednym blasku błogie skutki owych „dobrych i zbawiennych rad“ (Str. 267) polskiego magnata, żądającego „środków energicznych“, rozwiązania delegacji, zniesienia Towarzystwa rolniczego, zamknięcia resursy, „wyśledzenia i ujęcia przewódców ruchu“ (rzecz nadzwyczaj łatwa!) stanu oblężenia (Str. 27) — jednem słowem kija, kija — i jeszcze kija. Ale jak się czytelnik omyli! Jaka nędzna wychodzi figura z tego wychwalonego „męża stanu!“ Nie mówimy tego wyłącznie na zasadzie samych faktów, tak powszechnie znanych i opisanych przez p. Z. L. S. tak wyczerpująco i — przyznajemy — z takim niepospolitym talentem. Nie — sam autor, który w pierwszym tomie rzucił przekleństwo na całe polskie społeczeństwo, zato, że nie chciało przyznać swojego — niepowołanego — „zbawcy“, obchodzi się teraz z J. O. margrabią gorzej od najzaciętszego wroga, dochodzi nawet czasem do jawnej niesprawiedliwości. Niech czytelnik sam osądzi ów „włoski margrabia i moskiewski hrabia“ (Str. 257), którego „niewzruszona logika“ (Str. 183) daje takie „zbawienne rady“ — Berg nie może zrozumieć tej logiki i przypuszcza, że „chytry Polak“, „drugi Czartoryski“, chciał oszukać rząd carski i działał podstępnie dla wzburzenia kraju i wywołania powstania — ów „olimpijski Jowisz“ (Str. 188), popełnia, podług samego autora, błąd za błędem.

Sam Wielopolski i przez wystąpienie niezręczne (w obec duchowieństwa), psuł te zamiary (uspokojenia kraju“). (Str. 188). Przypomina to bajkę o niedźwiedziu, który, chcąc muchę spędzić z czoła przyjaciela, uderzył go kamieniem i zabił“. (Str. 289). Ów „wysoce niezręczny mąż“ (Str. 290) „rzuca rękawicę duchowieństwa, lekceważy je zupełnie“. (Str. 292). Ów najpierwszy z polskich mówców, przypominający, podług p. Z. L. S. złote Zygmuntowskie czasy, przedstawia się nawet teraz w najśmieszniejszej postaci i wygłasza napuszone i niemądre mowy „z nieodstępną karteczką“. (Str. 290, 360). „Ów wielki mąż stanu“ był to człowiek, który w wielu razach kierował się namiętnościami i dla namiętności gotów był wiele, nieomal wszystko poświęcić“. (Str. 301). „Obaczymy zaraz, że się mylił, jak ciągle się mylił ten umysł namiętny, szorstki, doktrynerski, zaślepiony przez dumę i Nabuchodonozorową pychę“. (Str. 302). Autor surowo karci margrabiego za to, że zredagował dekret, znoszący Towarzystwo rolnicze, nie na posiedzeniu całej Rady administracyjnej, jak chciało prawo, ale sam“. (Str. 905) Wielopolski przesłał dziennikom komunikat „pełen... właściwej prawie zawsze Wielopolskiemu sofistyki... która była w gruncie rzeczy kłamliwa... Komunikat, napisany zwykłym margrabiemu stylem ciężkim i zawiłym, jest jednym sofizmatem, usiłowaniem obronienia czynu, który przekonanie wewnętrzne autora potępiało... Rezultat zresztą tego postępku pokazał najlepiej, że Wielopolski... wzmocnił jeszcze bardziej ruch rewolucyjny“. (Str. 372, 373, 375). Dalej autor mówi o „drogach pozornie legalnych“ margrabiego, (str. 375), zarzuca mu, że „psuł jeszcze co chwila położenie przez wybryki złego humoru, przez zjadliwe i dokuczliwe koncepta“, (str. 383), że „gotów był się dopuścić czynów zgubnych w wysokim stopniu, nietylko dla siebie, ale i dla kraju“ (tamże), że „nową fazę w rozwoju dziejów naszych nieszczęść, fazę, niosącą w zwojach swego płaszcza szereg klęsk i plag, należy zawdzięczać polityce i postępowaniu Wielopolskiego“. (Str. 412). Jednem słowem, podług najwyraźniejszego wyroku samego autora, margrabia był po prostu zarozumiałym, dumnym, niezręcznym, mściwym i gwałtownym, głupcem, był główną przyczyną naszych klęsk i

niepowodzeń. Najgorszy jego nieprzyjaciel nigdy mu takiego atestatu nie wyda.

Z przeproszeniem p. Z. L. S. margrabia nie był wcale takim półgłówkiem, jakiem on go nam przedstawia. Ów „markiz włoski, hrabia moskieski", był poprostu nieodrodnym spadkobiercą Szczęsnych i Ponińskich, Czartoryskich i Krasińskich — powiemy więcej, działał zupełnie tak samo, jak cała Europejska arystokracja, zaczynając od XVI, nawet od XV. wieku. Ci panowie dostali wszędzie ziemię i nieodłączną od niej chłopską robociznę — ale pod warunkiem, że będą własnym kosztem bronili Ojczyzny, że wyrażając się po dzisiejszemu, będą opłacali cały wojenny budżet. Szło im więc o to, ażeby zatrzymać włości i poddanych, a umówionej zapłaty nie uiszczać — i dla tego woleli wszędzie zostać niewolnikami absolutnych królów i cesarzy, byle im pozwolono darmo korzystać z ludowej pracy. Polska ostatnia trzymała się dawnego ustroju, bo nie zdobyła się na własnego despotę — i zacni magnaci musieli się poddać cudzym władzcom. Sam Wielopolski, po Tarnowskiej rzezi, chwycił się cara, jak tonący brzytwy — a że nigdy, jak wszyscy tacy Jaśnie wielmożni, nie dbał ani o naród, ani nawet o wiarę, chciał wszystko poddać Gotorpom, byle on i jemu podobni mogli spokojnie wyzyskiwać calą „zbawioną" przez nich Ojczyznę. Omylił się — bo tacy się wszędzie tak samo mylili. Skoro despota wszystko podbił za pomocą uzbrojonego chłopstwa, czyli tak zwanego wojska regularnego, czyż najprostsze wyrachowanie mu nie kazało zabrać dla siebie i dla swoich urzędników wszystkie dochody dawnych uprzywilejowanych stanów? Po co lud ma pracować dla cara i dla panów, kiedy panowie sami się wyrzekli siły zbrojnej, a samowładzca najspokojniej sam jeden z całej ludowej pracy korzystać może? Że Wielopolski nie zrozumiał dziejów powszechnych, nic dziwnego, kiedy ani sam p. Z. L. S., ani hr. Stanisław Tarnowski, ani żaden „konserwatywny" historyk o nich najmniejszego pojecia nie mają. Ale zacny margrabia o tyle przynajmniej skorzystał, że wśród ogromnego pogromu, wśród klęsk naszych i upadku szlachty nie osobiście nie stracił, jak nie stracili nie Potoccy, Braniccy i Krasińscy. Obok nowych 265 moskiewskich donacyj w Królestwie, które Berg wylicza, włoski majorat Myszkowskich istnieje dalej i będzie istniał niezawodnie, póki carska prawica będzie ciężyła nad nami, nawet kosztem przyjęcia wschodniej ortodoksji. Nie półgłówkiem był hr. Aleksander Wielopolski...

Z tych krótkich uwag może się czytelnik przekona, że autor „Historji dwóch lat", ów najnowszy ochotnik „konserwatywnego" historycznego zastępu, nie błyszczy ani moralną zasadą, ani logiką, ani trzeźwym, matematycznym poglądem, ani nawet „myszkowskiem" wyrachowaniem. Dlaczegoż więc polecamy go polskiemu czytelnikowi, dlaczego utrzymujemy, żejego dzieło jest cennym nabytkiem dla ojczystego piśmiennictwa? Dlatego nasamprzód, że opisuje szczegółowo bardzo ważną chwilę naszej walki z wrogami, że nic nie skrywa i niczego, à la Kalinka nie przekręca, że jego osobiste poglądy bardzo mało wpłynąć mogą na rozumnego czytelnika. Dlatego zaś głównie, że pod wpływem własnego opowiadania, nasz konserwatywny, a bardzo nie konsekwentny neofita zapomina o swoich sprzymierzeńcach i pamięta tylko o tem, że sam jest Polakiem, wiecznie gnębionym i wiecznie walczącym. Daremnie przymusza się do popielowskich wyrażeń, daremnie z wysiłkiem prawi o „motłochu, twarzach odrażających, o wielu pijanych", o tem że „kilkanaście nierządnic lub starych Megier nie mogło mieć pretensji do reprezentowania płci pięknej" (str. 334). Kule świsnęły, krew się polała i nasz konserwatysta rzuca się myślą razem z „pijanym

---

Zlot sokoli.

Pamiętnik I. zjazdu polskich gimnast. towarzystw sokolich we Lwowie w dniu 5 i 6 czerwca 1892 r.

Zebrał i spisał

Dr. Ksawery Fiszer. *)

Za najuroczystszą chyba chwilę w zbiorowem życiu naszego Sokoła uważać należy „zlot" zeszłoroczny, kiedy to junackie wojsko sokole miało sposobność wystąpić po raz pierwszy przed oblicze narodu w całym majestacie męskiej swej siły i wypowiedzieć ze szlachetnem uniesieniem, a tak gromko, jak nigdy przed tem, jakie to myśli szczytne krążą pod »batorówką« o piórze książęcego ptaka, jakie uczucia przyśpieszają tętna serc pod krwawą barwą sokolą...

I chwila ta znalazła godny siebie pomnik w wymienionem powyżej dziełku, które się rozpada na dwie odrębne części. — Pierwsza, obejmująca 150 stronic, a zatytułowana »Przed złotem«, daje szczegółowo dokładny obraz czynności przygotowawczych licznych komisji: techniczno-gimnastycznej, budowniczej, finansowej, wydawniczej, gospodarskiej, dekoracyjnej, sztandarowej, kwaterunkowej, zabawowej i t. d. i pozostaje do następnej w takim mniej więcej stosunku, jak pozioma, szara, mnóstwem ruchliwych nóżek zaopatrzona gąsienica do świetnego motyla o tęczowych skrzydłach. Umieszczony w końcu opis podniosłych uroczystości poświęcania sztandarów w kilku miastach prowincjonalnych stanowi logiczne przejście do części drugiej. Raz w raz dźwięczą tu ogniste, a rzewne nuty, które miały zlać się dopiero na »zlocie« w pełny, harmonijny akord... Oto nad Sanem naprzykład, daje się słyszeć uroczysta przysięga, że Sokoł przemyski pozostanie wierny rycerskim hasłom, wypisanym na jego sztandarze i »sztandar ten — choćby

*) Z współudziałem druhów: F. Bieńkowskiego, E. Cenara, A. Durskiego, St. Dębickiego, dr. M. Gedla., Krugera, dr. J. Serwackiego, Świątkiewicza. A. Walleka, Winkowskiego i Zaklińskiego.

motłochem“ na bagnety, modli się z nim i ginie, i zdobywa się na takie zaiste porywające opisanie: „W przerwach pomiędzy strzałami występowali z pomiędzy klęczących mas ludzie i zaklinali je gorąco, by się rozchodzili. Próżne jednak były ich usiłowania, próżna wymowa i błaganie: nikt się nie ruszał. Śród tłumu uwijali się niedorostki, uczniowie szkolni, młodzież nikomu nie znana i wołali: „stać! nie uciekać!“ Stano więc, a gdy zagrzmiały nowe strzały, gdy pociski czyniły szczerby krwawe wśród rozmodlonych, gdy ten i ów słabszej natury zrywał się i począł uciekać, to ci, co przedtem radzili rozejść się, wołali: teraz stać panowie, kiedyście się wprzódy nie chcieli rozejść!“ (Str. 343). „Straszna rzeź, dokonana w stolicy kraju, na ludności bezbronnej, między którą było wiele kobiet i dzieci“... (Str. 347). Ale trzeba przeczytać cały opis rzezi 8. kwietnia i wtedy się wiele autorowi wybaczy, nawet następujące bluźnierstwo: „Bóg polski oddawna, od stu lat głuchym jest na głos bijący doń „z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej“, z nizin polskich (str. 343). Nikt, o ile nam wiadomo, wspanialej nie opisał owe świetne dla nas zwycięstwo, świetniejsze, praktycznie mówiąc, niż Racławice, bo zjednało nam podziw i sympatję całego cywilizowanego świata, samych Moskali, samych Niemców, zjednałoby nam miliony sprzymierzeńców, gdybyśmy z niego korzystać umieli. Bóg polski sowicie nam wówczas zapłacił za kilkaset rannych i zabitych! Możemy tylko podziękować p. Z. L. S. za jego zajmującą pracę i życzyć mu, by się dalej kierował własnemi popędami, by raczył się przytem pytać dziejów i statystyki, a wtedy jesteśmy pewni, że jego pożyczony „konserwatyzm“ i „rozum stanu“ rozwieje się jak dym, ku większemu pożytkowi całego polskiego społeczeństwa. *A. B. S.*

Karły.

.....Nastał czas ciszy drętwej i ciężkiej... Na ziemi,
Gnąc grzbiety i rękoma ruszając martwemi,
Ludzie czynność pełnili..... To była godzina,
W której myśl, jak zegaru złamana sprężyna,
Przestała działać. Dawne gienjusze wymarły
I świat został spokojny, lecz zimny i pusty —
Tylko posągi wieszczów milczącemi usty
Zdawały się przemawiać: o karły wy, karły!...

.....Nadeszła przebudzenia chwila. Myśl odżyła,
I duma po nad roje wszechświatów się wzbiła.
I lud czerpał u mędrców z ich ducha potęgi,
I myśli swej zakreślać począł szersze kręgi...
Lecz półmartwa i zimna masa automatów,
Którzy, ciemności widząc, światła nie dostrzegli,
Zadrgała wnet złowrogo... Znaleźli się biegli
W społeczeństwie i rzekli: katów trzeba, katów!

A nad grobami ofiar w imię prawdy owej,
Że myśl zrodziła prawdę, a prawda na nowej
Drodze gdzieś musi szukać dobra — ciemne tłumy
Wołały: niepotrzebne nam jeszcze rozumy!
I z piersi dawnych wieszczów w kamieniu zamarłej
Jek wyszedł..... Marmurowych posągów tłum hardy
W dal patrząc nieruchomo swym wzrokiem pogardy,
Szepnął w bólu szyderstwa: o karły wy, karły!

Al. Dąbrowski.

GAŁĄZKA SPIREI.

NOWELA

przez **Marję Jarmund.**

Dalszy ciąg.

Nauki pobierała bezpłatnie, w jednym z najlepszych zakładów, z łaski szlachetnej przełożonej, przeplatając gorliwą pracę nad sobą, pracą

poszarpany, zaniesie do serca Polski — do Warszawy!« — W Stanisławowie zapał sokoli ogarnia wszystkich uczestników pięknej uroczystości: reprezentantka kobiet zapewnia przy wręczaniu sztandaru, że w pracy dla ojczyzny, Polka nie da się nigdy prześcignąć ojcom, mężom, braciom i składa życzenie, „by skrzydła tego białego ptaka rozwinęły się jak najrychlej na wolnej polskiej ziemi«, — a młódź woła w serdecznym wierszu, że każdy z nich »marzy o dobie, kiedy w wieku męży stanie pod sztandar ten i wrogów zwycięży!« — Na rozwinięty po raz pierwszy sztandar wadowicki wśród ogólnego zapału i burzy oklasków spływają świętym chryzmatem wraz z wodą chrztu życzenia, »by jak najrychlej poszarpany w strzępy, ale zwycięzki, jako relikwja złożony został w katedralnym kościele św. Jana w Warszawie“. — Gniazda: kołomyjskie, tarnopolskie, stryjskie, łańcuckie, święcą niemniej wzniosłe uroczystości, a »od stepów i gór, gdzie Prut myje stopy Cecyny«, rozbrzmiewa, niby pochrzęst żelaza, śpiew bukowińskich junaków: „Hej, czołem ojczyźnie, a szponem wrogowi, to hasło — Sokoły kresowi!“

I szeleszczą czerwone sztandary nad ziemią, na której łonie rozdartem skrzepły strugi krwi, i szelest ich zdaje się mówić w górę czoła! Nie płakać nam nad rzekami Babylonu, nie rozpaczać nad narodem, którego piersią takie hasła wstrząsają, lecz z wiarą i słuszną dumą powtarzać za wieszczem, że świętego ognia nic w nas nie wyziębi, że nie wyziębią go nawet „zimni“ i »plugawi“!

Część drugą omawianego dziełka, obszerniejszą jeszcze od pierwszej, a poświęconą właściwemu opisowi zlotu, — rozpoczyna słodkie jak muzyka wezwanie do Sokołów, aby zatoczyli „nad naszą ziemią słonecznych polotów kręgi« i budzili „tych, którzy drzemią, hasłem wskrzeszonej potęgi«.

I skrzydlata drużyna usłuchała wezwania i pomknęła wartkim lotem do Lwiego grodu na oznaczony dzień z nad Wełtawy i Morawy, Wisły i Warty, Sanu i Prutu, pozostali zaś w gniazdach

dla zarobku, gdyż od najmłodszych lat, aby dopomódz matce, uczyła za nędzne wynagrodzenie młodsze od siebie dzieci. W chwilach wytchnienia zaś zamiast uciech i radości, jakie są właściwe dziecinnemu wiekowi, miała przed oczami widok matki zrozpaczonej, zalanej łzami i wyczerpującej sił ostatek.

Młodość tak spędzona na całe życie piętno smutku pozostawić musi.

Po ukończeniu nauk, starała się z początku o zatrudnienie które by jej pozwoliło pozostać z matką, ciężko znużoną pracą nad siły i potrzebującą gwałtownie wytchnienia. Pociechy tej jednak wyrzec się musiała. Lekcje prywatne nie dawały dostatecznego zarobku na utrzymanie chorej kobiety. Córka zatem musiała ją umieścić u krewnych, a sama przyjęła korzystne bardzo miejsce domowej nauczycielki. Niestety . . . było już zapóźno, wszelkie wysilenia okazały się próżne. Siły żywotne nieszczęśliwej kobiety zostały stargane w ciężkiej walce życia. Zgasła jak lampa, której zabrakło pożywienia, cicho i spokojnie, zostawiając córkę osieroconą i zupełnie samotną na świecie. I tego więc ciosu los jej nie oszczędził.

— Po śmierci matki opuściłam miejsce, które wyjąwszy korzyści materjalnych, zapewniało mi tylko same przykrości — zakończyła swoje opowiadanie młoda nauczycielka — i dostałam się do siostry kanonika, gdzie pragnęłabym pozostać do końca życia, gdyby to było tylko możebne.

Rodzina kanonika odpłacała jej za to uczucie zupełną wzajemnością. Zwłaszcza sam kanonik, nie umiał znaleść dostatecznych wyrażeń na określenie swego zadowolenia, ile razy mówił o niej ze swym przyjacielem.

— Znaleźliśmy skarb prawdziwy — powtarzał, którego wartość z każdym dniem lepiej umiemy ocenić. Od czasu jak ona jest w domu, wszystko lepiej idzie. Czyś pan uważał, jakiego ułożenia nabrały dziewczątka. A nawet ten mój ukochany wisus Julek, dla niej jednej ma trochę uszanowania. Od trzech lat jak jest z nami, nie widziałem u niej ani razu zachmurzonej twarzy. Siostra moja kocha ją tak prawie, jak własną córkę. Mamy też tylko jedną obawę, żeby nas nie opuściła zbyt prędko. Dom nasz opustoszał by, gdyby w nim na raz zabrakło takiego pogodnego światełka.

— Wiesz co, kochany przyjacielu — powiedział jednego dnia proboszcz — kto wie czy obawy moje nie spełnią się prędzej, niż przypuszczałem. Pan Władysław coraz częściej tu zagląda, a pewnie nie do nas starych. Trudno biednej sierocie zamykać drogę do szczęścia, ale co my tu bez niej robić będziemy, nie chcę nawet myśleć.

Jakie wrażenie wywarła na nim ta wiadomość, Ludwik dotąd jeszcze pamiętał. W tej chwili, kiedy przeszłość tak jasno i żywo stanęła mu w pamięci, wydało mu się, iż przykre to wrażenie na nowo odczuwa.

— Jakiż to Władysław — zapytał niechętnie.

— Jakto, nie wiesz? Widziałeś go tu nieraz. Dzierżawca z Pniowa, bardzo poczciwy i porządny chłopiec. Zrozumiał widocznie, że dostać taką żonę, to więcej znaczy niż skarb znaleźć.

Trudno było przypuszczać, żeby dziewczyna uboga, skazana na całe życie uciążliwej pracy, mogła taki los odrzucić. Ale cóż on zrobi — on co się do jej towarzystwa tak przyzwyczaił.

Codziennie rano pierwsze jego spojrzenie padało na narożne okno plebanji, zastawione starannie utrzymanemi kwiatkami, z pośród których wychylał się profil młodej nauczycielki pochylonej nad robotą. — Ileż to razy idąc na wieś za-

---

Sokołowie nadsyłali za pomocą iskry elektrycznej, jak iskry płonące zapewnienia, że wspólne ideały i cele łączą całe Sokolstwo słowiańskie i że zabłyśnie wkrótce dzień dla ginących w ciemnościach, gdyż żadna potęga nawet ta, jaką posiadają „wszechmocni« o złotych kołnierzach i tekach ministerjalnych — nie może wzbronić ludzkim mózgom myśleć, ludzkim sercom bić...

Dalej opowiada „Pamiętnik“, jak Lwi gród otworzył drogim gościom serce w szczerem słowie“, jak bratersko dzielił się z nimi chlebem i solą, nadzieją, i żalem bezmiernym nad „nieobecnymi« z Warszawy, Wilna, Lublina, którym „straszna moc nie pozwala, by braciom do łona przypadli;“ jak zwycięsko jaśniały w słońcu po raz pierwszy od stu lat galicyjskie obok wielkopolskich sztandary; jakie tryumfy święciła sokola wiara na polu walnej bitwy, boiskiem zwanem; jak cudnie przystroiły siostrzane rączki Czeszek lwowski sztandar cenną gałązką srebrnej lipy słowiańskiej i szarfę z napisem cenniejszym już nietylko od srebra, lecz i od krwi serdecznej koralu, — napisem, który opiewał: „Wiedź synów Polski do walki za naród, ojczyznę i wolność,“ ale wszystkie te epizody — zbyt żywo i głęboko wyryły się w pamięci tysięcy i tysięcy uczestników, aby je trzeba było powtarzać za autorem „Zlotu“. Zaznaczę więc tylko, że piękną rzeczywistość odtworzył pięknem, malarskiem, silnem słowem, które przenosi czytelnika w błękitną krainę sokolą. — I ja tam byłam, w tej krainie błękitnej, a miód, wino pijąc, jak w starej bajce marzyłam o czasach, kiedy stara bajka stanie się młodą rzeczywistością i kiedy silny, nieustraszony, skrzydlaty rycerz zbudzi do nowego życia potęgą ofiarnej miłości, cudną, przez złego czarodzieja uśpioną królewnę...

M. Wysłouchowa.

trzymywał się przed tem oknem, żeby ukłonem, grzecznem słówkiem, albo rzuceniem przez nie kilku kwiatków, zwrócić jej uwagę na siebie i parę słów zamienić.

Rozmowa z nią, miała dla niego urok niewypowiedziany, tyle posiadała wiadomości, taką siłę przekonań niewzruszonych, że często w najważniejszych sprawach zasięgał jej rady. Dobroć jej, cierpliwość i niczem niezamącona pogoda umysłu i usposobienia, dziwnie uspokająco działały na jego chore, rozstrojone nerwy.

— Panno Anno, czy pani nie umie się gniewać? — pytał nieraz, usiłując ją żartem rozdrażnić.

Ruszała na to ramionami, uśmiechając się łagodnie.

— Przeciwnie. — Nie jestem tak doskonała. jak to pan usiłuje wmówić we mnie, ale nie gniewam się nigdy bez słusznej przyczyny. Trzeba na to, ażebym była przekonaną o chęci ubliżenia mi lub dokuczenia. Wtedy jednak nie łatwo przebaczam.

Pieczołowitej troskliwości, z jaką go w czasie ciężkiej choroby, wraz z siostrą proboszcza pielęgnowała, zawdzięczał życie. Zdawało mu się wtedy, że on samotny, opuszczony, nagle rodzinę. której był pozbawionym odzyskał. Pamiętał też dobrze, że trud ten i zmęczenie Anna sama odchorować musiała.

Czuł, że nieobecność jej straszną próżnię sprawi w życiu i że pustki tej przez długie lata nie potrafi zapełnić, to jednocześnie gniewał się na siebie za samolubne myśli i zapomnienie o szczęściu młodej dziewczyny. Ubiedz tamtego i ożenić się samemu, na myśl mu nawet nie przyszło. Zdawało mu się, że jest zbyt starym aby rozpoczynać życie. Brakowało mu zresztą stanowczości i siły woli, którą ubezwładniły ciężkie życia koleje, na powzięcie tak nagłego i ważnego postanowienia. Czekał więc niecierpliwie, w ciągłej rozsterce z własnemi uczuciami, co mu los zgotuje.

— Czy wiesz drogi przyjacielu, o wielkiej niespodziance, jaka nas dnia dzisiejszego spotkała — zawołał jednego dnia kanonik, wybiegając naprzeciw niego. — Widzisz, cieszę się, choć źle robię. Dziś rano był Władysław i oświadczył się naszej Andzience, a ona mu odmówiła. Biedny chłopiec odjechał bardzo zmartwiony. Nie możemy zrozumieć co mogło być powodem tej odmowy. Każda inna na jej miejscu byłaby uważała małżeństwo takie za los wygrany na loterji życia. Życząc jej dobrze, wolałbym żeby była postanowiła inaczej, a jednak — jakim to samolubem jest człowiek — nie mogę stłumić w sobie mimowolnej radości.

W pierwszej chwili Ludwik na tą wiadomość doznał uczucia takiej ulgi, jakby mu wielki ciężar spadł z serca. Trwało te jednak krótko, gdyż sumienie zaczęło mu czynić wyrzuty, że się powoduje egoizmem, wyobraził więc sobie, że obowiązkiem jego było nakłaniać ją do zmiany postanowienia.

— Na to nie możemy pozwolić księże proboszczu — zawołał zapalając się — aby dla tak błachej przyczyny, jak zadowolenie naszej chwilowej przyjemności, młoda ta osoba miała całą swą przyszłość narazić. Panna Anna ma trochę zaufania do mnie, będąc więc sam usiłował przekonać ją o tem, jak nierozważnie postąpiła.

— Spróbuj pan — odrzekł proboszcz — choć wątpię, żeby się to przydało na cokolwiek. Ja już na prośbę Władysława mówiłem z nią o tem, ale jest niewzruszoną. Nie wiem nawet, czy będziesz mógł widzieć się z nią dzisiaj, gdyż jest cierpiącą.

Niezważając na to ostrzeżenie, udał się do ogrodu w nadziei, że się z nią tam najprędzej spotka. Przeczucie go nie zawiodło. Po krótkiem poszukiwaniu znalazł ją w zacisznym kąciku, gdzie często siadywała. W miejscu tem zakrytem szczelnie od strony ogrodu gęstemi krzakami, z drugiej strony daleki i wspaniały widok się roztaczał. Siedziała z głową wspartą na dłoni, blada i widocznie cierpiąca. Oczy jej zwrócone w dal, zdawały się błądzić bezwiednie po przestrzeni. Tak była zagłębioną w swych myślach, że nie słyszała szelestu rozchylających się gałęzi. Dopiero gdy przemówił, zadrżała, jakby została schwytaną na złym jakimś uczynku. Zdaje się, że obecność jego była jej bardzo niemiłą w tej chwili, i że miała nawet zamiar oddalić się, nic nie mówiąc. Pozostała jednak po krótkim namyśle.

— Pani jest cierpiącą — zapytał chcąc rozpocząć rozmowę.

— Głowa mię boli, odpowiedziała niechętnie, w nadziei, że się tym sposobem pozbędzie natrętnego towarzystwa.

Ale on udał, że tego nie rozumie i siadając obok niej rozpoczął drażliwą rozmowę. Mówił z zapałem, zwiększającym się w miarę tego, jak w sercu swojem czuł wzmagające się pragnienie usłyszenia odpowiedzi odmownej. Był przekonanym, że wypełnia z bohaterskim poświęceniem przykry i ciężki obowiązek.

Na bladej jej nieruchomej twarzy nie widać było żadnego wrażenia. Milczała dalej obojętnie, a zamglone oczy tonęły ciągle w niezmierzonej przestrzeni.

— Czy nie uznaje pani słuszności moich uwag? — zapytał wreszcie widząc, że się nie doczeka żadnej odpowiedzi..

— Przed chwilą powtarzałam sobie, słowo w słowo, to wszystko co pan tu mówił — odparła z pewną niecierpliwością.

— No i cóż?

— I nic. Wszelkie rozumowania muszą być prożne, to są rzeczy, o których sam rozum nie ma prawa rozstrzygać.

Czuł dobrze że powinien na tej odpowiedzi poprzestać, ale dziwne jakieś uczucie, którego

określić nie umiał skłaniało go do zadawania nowych nieoględnych pytań. Przekroczył tem jednak dozwoloną przyjaźni granicę i przekonał się, że ta słodka, łagodna, potrafi się rozgniewać a stanąć w obronie własnej godności, gdy się ktoś naruszyć ją ośmieli.

Podniosła się z ruchem obrażonej królowej, a oczy jej zapłonęły pełnym blasku ogniem.

— Cóż pana upoważnia — zaw[illegible] namiętnie — do badania tego nad czem [illegible] sama zastanawiać się nie ośmielam.

Umilkł zawstydzony, nie probując już ani słowem bronić przegranej sprawy.

I znów wszystko powróciło do dawnego stanu. Lata upływały jedne po drugich niespostrzeżone, nie przynosząc żadnej zmiany dla maleńkiej kolonji. Prawdopodobnie nawet byłoby to spokojne życie trwało do obecnej chwili, gdyby nie nagły piorun, który, spadając z pogodnego nieba, cały gmach szczęścia w popiół obrócił.

Wspomnienie to musiało należeć do bardzo przykrych, gdyż Ludwik kilka razy pocierał ręką po czole, jakby chciał obraz cisnący się natrętnie przed oczy, jak najspieszniej oddalić.

Napróżno. W pamięci pozostał mu na zawsze wyryty, ten pogodny, wesoły dzień wiosenny, tak dziwnie podobny do dnia dzisiejszego. Dzień w którym nikt nie może myśleć o smutku, bo świat tak piękny i szczęśliwie uśmiechnięty wygląda.

Stał w ogrodzie zajęty ulubionemi swemi kwiatami, układając w myśli, gdzie który z nich umieści, ażeby piękniej i wspanialej się przedstawiał. Nagle z zamyślenia wyrwał go przeraźliwy krzyk dziewczyny, która nadbiegła z plebanji, ażeby go uwiadomić, że ksiądz kanonik umiera. Jak się dostał na plebanię, niepamiętał dotychczas takbył wtedy przerażonym. Zastał tam rozpacz nie mającą granic. Jedna tylko nauczycielka, która zachowała resztkę przytomności umysłu, próbowała choć bezskutecznie pewnych środków ratunku. Ale i ona uginała się pod ciosem, który spadł niespodziewanie czując, że traci w jednej chwili opiekuna, przyjaciela i przybraną rodzinę, że los ją znów wypycha ze spokojnego schronienia i zmusza do dalszej tułaczki po świecie.

Umierający poznał przyjaciela stroskanego i ściskając mu słabo rękę szepnął zaledwie zrozumiałym głosem.

— Posłali po lekarza, ale to późno... już mnie nie zastanie... Zostawiam ich w nędzy... Byłem nieoględnym i to mi spokojnie umrzeć nie pozwala — dodał z wysileniem — biedne dzieci... biedny mój Julek, o tak świetnej przyszłości marzyłem dla niego... to były ostatnie jego wyrazy. Przybywający lekarz nie zastał go już przy życiu.

Pozostała rodzina znalazła się w najprzykszejszem położeniu. Kanonik dzielący się przez całe życie ostatnim kawałkiem chleba z biednymi, nic po sobie nie zostawił.

W pierwszych chwilach smutku zrozpaczona jego siostra, nie umiała pomyśleć o przyszłym swym losie, ani zająć się ustąpieniem miejsca szczęśliwszemu, który miał wejść wkrótce w dawne ich prawa. Znów więc na Annę spadł ten przykry obowiązek. Kilka tygodni dzielące ich od smutnej chwili rozstania z ulubionemi kątami, upłynęły w głębokim smutku. Plebanja zmieniła zupełnie dawną swą postać. Nie było tu już jak dawniej, wesoło uśmiechniętych twarzy, ani gwaru i głośnych wybuchów śmiechu. Milczenie zapanowało ponure, nikt nie odzywał się inaczej tylko cichym szeptem.

D. c. n.

RACHUNKI DOMOWE.

Przez

FITZ-GERALDA.

Pani Delamiter siedziała z robotą przy oknie saloniku. Szyła bardzo pilnie, a zatopioną była w rozmyślaniach o pewnej przygodzie, która się stała zrana.

Nikomu w obecności pani Delamiter nie uszłaby bezkarnie najlżejsza wzmianka o tem, że mąż jej objawia niejaką skłonność do skąpstwa, niemniej przeto w pożyciu ich małżeńskiem, rok blizko trwającem, były już nieraz chwile, w których sama ona musiała to wyznać ze smutkiem w głębi duszy. W chwilach takich, starała się zazwyczaj wmówić sobie, że to się jej tylko tak zdaje, że właściwie mąż „niczego jej nie żałuje“, lubo „często, ot wcale nie zastanowi się tylko“ i t. p. Niewyczerpanem atoli źródłem goryczy i zmartwienia była dla niej zawsze ta okoliczność, że oboje z mężem posiadali jedną tylko sakiewkę i ta spoczywała zwykle w kieszeni pana. Dla kobiety, która jak pani Delamiter, przez kilka lat przedtem nim wyszła za mąż, żyła zupełnie samodzielnie, utrzymywała się z własnej pracy, niezależnie od nikogo rozrządzała zapracowanemi pieniędzmi — było upokorzeniem nieznośnem dopraszać się u męża o każde kilka centów na drobne codzienne wydatki i za każdym razem ścisły zdawać rachunek z tego, na co mianowicie pieniądze te użytemi będą.

Dzisiejszego ranka pani Delamiter poczuła, że do gorzkiego kielicha upokorzeń przybyła ostatnia, przepełniająca go kropla. W przeddzień, z wieczora młoda gosposia ułożyła sobie świetny plan działalności na przyszłość; postanowiła, że odtąd za każdym razem brać będzie od męża więcej nieco pieniędzy, niż będzie potrzebowała na razie i w ten sposób w najbliższym przynajmniej czasie oszczędzi sobie upokorzeń. Zdobywszy się na możliwą odwagę i całą siłą woli panując nad nerwami: wybrała ona podczas śniadania chwilę odpo-

wiednią, kiedy mąż, syt już, otarł usta i wstał od stołu. Zaczęła nieśmiało.

— Czy mogę prosić cię o dziesięć dolarów, Tomie.

— I na cóż to? — zapytał dobrodusznie.

— Widzisz... to tak jest... Muszę sobie kupić trzewiki...

— Fiu, fiu, fiu!... Aż dziesięć dolarów na trzewiki!... — zauważył mąż, podnosząc zlekka brwi, nie tracąc zresztą bynajmniej pogodnego swego nastroju.

— N-nie — wyjąkała z wahaniem — trzewiki właściwie będą kosztowały tylko trzy dolary... Lecz, sądziłam, Tomie... Wiesz, chciałam mieć w ręku trochę pieniędzy... Nie potrzebowałabym nudzić cię tak często o nie...

Umilkła zmieszana bardzo i tak zawstydzona, jak gdyby co najmniej ukradła zeszłej nocy bieliznę, suszącą się w ogrodzie u sąsiadów, lub popełniła inny uczynek równie karygodny.

Tymczasem p. Delamiter wydobył z największą flegmą sakiewkę, dobył z niej dwudolarowy papierek, następnie wyjął jednodolarowy i jeszcze srebrną monetę, wartości pół dolara, wyłożył to wszystko na stół i zrobiwszy przytem niedbałą uwagę, że „tyle chyba na ten raz wystarczy“, schował sakiewkę napowrót do kieszeni. Następnie, pogwizdując, wyszedł o zwykłej porze do kantoru.

Samo wspomnienie tego epizodu przyspieszało oddech pani Delamiter i sprowadzało na twarz jej ciemny rumieniec. Ale, jako prawdziwie dobra kobieta, usiłowała szczerze znaleść coś na usprawiedliwienie głupkowato-grubjańskiego postępowania męża — w każdym zresztą razie gotowa przebaczyć mu je wspaniałomyślnie. Wstała z miejsca, jak tylko stojący na kominie zegar wybił pół do szóstej. Złożyła robotę i nakrywszy stół do herbaty, postawiła na nim talerz z ciastem oblanem bitą śmietanką, które stanowiło ulubiony przysmak jej męża, a które przyrządziła własnoręcznie dnia tego zrana; nakrajała cały półmisek cieńkich, ponętnych kromek domowego chleba, mającego lekkość puchu, a słodycz migdałów; otworzyła świeży słoik morelowych konfitur, usmażonych również własnoręcznie zeszłej jeszcze jesieni, i na domiar wszystkiego zaparzyła herbatę w taki właśnie sposób, jaki najwięcej Tomowi przypadał do smaku.

Pan Delamiter wrócił do domu o zwykłej porze, przywitał się serdecznie z żoną, zasiadł do stołu i zabrał się do spożywania śmietankowego ciasta, nieszczędząc gospodyni pochwał i darząc ją czułemi spojrzeniami. Po wieczerzy usadowił się w wygodnym fotelu, wziął żonę na kolana i objąwszy ją wpół, jął rozprawiać o tem, jak szczęśliwym czuje się człowiek, gdy ma własne ognisko domowe i jak smutnem wydaje mu się w porównaniu kawalerskie życie. Słowem, pan Delamiter okazywał tego wieczora tak wyjątkowo dobry humor, że pani Delamiter odważyła się na wznowienie draźliwej rozmowy.

— Przychodziła dziś do mnie panna Smits — zaczęła, siląc się na spokój.

— A, to ta modniarka?

— Tak. Nastręcza mi zajęcie... wiesz, garnirowanie kapeluszy... Na sezon letni...

— Masz tobie! a to mi się podoba!... zawołał z irytacją Delamiter. Ma się rozumieć, kazałaś jej zwrócić się na lewo w tył i marsz za drzwi? Bo też i wymyśliła ta głupia baba wbić sobie do głowy, że ślęczeć będziesz nad robotą dla jakiejś tam przekupki!

— Ależ, przepraszam cię, Tomie, chciałabym żebyś mi pozwolił...

— Co ci się stało, Nelly, Boże odpuść!? I na co ci to? — pytał mąż ze wzrastającem wciąż oburzeniem.

— Widzisz, Tomie... chciałabym mieć trochę własnych kieszonkowych pieniędzy...

— Jakto?... Albożnie masz własnych pieniędzy? Wszystko co mam do ciebie należy...

— Tak, zapewne, tylko, że... Ach, żebyś ty wiedział, jak mi jest przykro wypraszać zawsze...

— Boże, jakiż z ciebie niemądre stworzenie, Nelly! No, powiedz, albożem ci odmówił choć raz w życiu? I dlaczegoż to tak ci jest przykro żądać odemnie pieniędzy, powiedz, proszę? Żebyś mię zabiła, nigdy tego nie zrozumiem!

— Jednak mnie się zdaje, Tomie... Doprawdy, żebyś ty był na mojem miejscu i tobie byłoby przykro... z pewnością byłoby ci przykro!

— Bajki, kochanie! Mogę ci napewno powiedzieć, że ani trochę nie byłoby mi przykro. Żądałbym bez wahania i basta!

— A czy zgodziłbyś się stwierdzić to przykładem?

— No, rozumie się, że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to było rzeczą możliwą! Nie wiem tylko, jakbyś ty potrafiła urządzić podobną próbę...

— A gdybym potrafiła, to czy się zgodzisz?

— Hm... No dobrze, zgadzam się. Mów, coś wymyśliła?

Zrobimy tak: ja wezmę z banku wszystkie moje panieńskie oszczędności, złożone tam na twoje imię... Ty zaś będziesz składał tamże całą twoją pensję, całą, rozumiesz, co do grosza. Dobrze?

— Hm... niech i tak będzie! — powiedział Delamiter, spoglądając z uśmiechem na poważną minę żony.

— Obiecujesz mi, że będziesz niezwłocznie odnosił do banku wszystko, co weźmiesz z kantoru, a po pieniądze na drobne wydatki będziesz przychodził do mnie?

— No tak, oczywiście... Obiecuję!

Tu Delamiter nieco się zamyślił...

— Jak długo ma trwać ta próba? — zapytał po chwili zupełnie już poważnie.

— Przypuśćmy, miesiąc... To chyba wystarczy, jak ty myślisz, Tomie?

— Powinnoby, sądzę, wystarczyć — odparł oschle Tom.

(d. n.)

Wyprawa dr. Nansena.

Z Chrystanji wyruszył na wyprawę naukową do bieguna północnego młody uczony i dzielny podróżnik dr. Fritjof Nansen.

Na pokrycie kosztów, oprócz dobrowolnej ofiary kierownika, złożyły się składki na ten cel zbierane, nadto storthing norwezki wyznaczył 110,000 franków, a rząd rosyjski urządził znaczne składy żywności przy ujściu rzeki Olenek i na archipelagu Nowo-Syberyjskim, co zapewnia załodze w każdym razie możność ocalenia w razie rozbicia się okrętu na podbiegunowych morzach. Sam pomysł wyprawy opiera się na następującem spostrzeżeniu. Zauważono niejednokrotnie, iż statki wielorybnicze, które podpływały daleko na północ, wzdłuż wschodniego brzegu Grenlandji, opuszczone przez załogę, z wiosną dostawały się na południe bez wielkich uszkodzeń, gdy przeciwnie, statki porzucone na północnem wybrzeżu syberyjskiem, oraz w cieśninie Behringa, ginęły bez śladu. Ztąd wniosek, iż istnieje prąd morski od brzegów Syberji przez biegun do brzegów Ameryki północnej, co potwierdza i ten fakt, iż słynna „Jeanett'ea", opuszczona w 1881 r. na brzegach syberyjskich, ukazała się po kilku latach na wschodnim brzegu Grenlandji, przepłynąwszy, jak to okazał Nansen, na północ od ziemi Franciszka-Józefa w niewielkiej od bieguna odległości. Z tym to prądem ma się puścić dr. Nansen od ujścia rzeki Leny, na północ do Nowej-Syberji, zkąd będzie płynął ku północy o ile znajdzie otwarte morza. W lodach przepędzi zimę i ma nadzieję, że z wiosną prąd wskazany powyżej przeniesie go w pobliżu od bieguna, tak jak przeniósł pusty kadłub »Jeanetty«. Okręt d-ra Nansena, »Fram« (postęp), jest specjalnie przysposobiony do polarnych podróży, załogi liczy 12 dzielnych marynarzy, dla których zapasy żywności wystarczą na lat 5—7. Nansen zaopatrzył się w maszynę do pisania, bo podczas długich, ciemnych nocy pisanie zwykłym sposobem niezmiernie trudzi wzrok. Każdy pasażer zaopatrzyć się musi w odzież nieprzemakalną, wypróbowaną doskonale przez Nansena. Próbę odbywał on stojąc długi czas w wodzie, nie doświadczając zgoła żadnej na ciele wilgoci. Chleb przygotowany do podróży, wypieczony jest z ciasta bardzo gęstego w formie kulistej, z którego przypada na człowieka tylko 4 kromki chleba. Do opalania użytą będzie nafta, w tym celu zbudowano odpowiedni piec; do opału jednorazowego zużywa się 5 litrów nafty; zapas obliczony na 4 do 5 lat. Tkanina na namioty będzie jedwabna, ponieważ przekonano się, że jedwab doskonale zabezpiecza od zimna. Pasażerowie mają też i rozrywkę w razie nudów, mianowicie bibljotekę, złożonę z 1,000 dzieł treści naukowej, oraz książek z opisami podróży i romansów. Nansen zabiera z sobą balon i potrzebną ilość ścieśnionego gazu wodorodnego, »ski« norweskie do odbywania podróży po śniegu, siedm łodzi, zbudowanych bardzo mocno i mających służyć do połowu fok, a w razie rozbicia się okrętu do ratunku.

Dr. Nansen, który się puścił w podróż z głębokiem przeświadczeniem, że cel zamierzony osiągnie, nie po raz pierwszy składa dowody niepospolitej wytrzymałości i odwagi. W r. 1888/89 przeszedł na łyżwach całą Grenlandją.

Z ruchu literackiego.

Maryan Gawalewicz: »Mgła", powieść; Warszawa 1893.

Osobą, około której toczą się koła najnowszej powieści Gawalewicza, jest młodzieniec mający głowę zepsutą i zwietrzałe serce — z próżniactwa. Samolub, pesymista, stoi z korabiem życia na pełnem morzu a nie ruszy wiosłem — z lenistwa. »Żeby choć jaka fala sama mnie poniosła — woła — mniejsza o to dokąd, byle dalej, ale ani fal, ani bałwanów, ani wiatru, tylko cisza i mgła«... Przez długie lata hypnotyzuje go jakiś cynik i materjalista migotliwemi zwierciadełkami frazesów. Do jasnego ocenienia go, brakuje mu dotąd drugiej strony medalu, ale gdy ją przypadek odsłonił — ujrzał przed sobą wcielenie brzydoty moralnej w kształty życia. »Gdybyś cokolwiek w życiu był ukochał — powiada mu jego antypoda powieściowy — ale szczerze, głęboko, nie byłbyś został tym malowanym pesymistą, nie widziałbyś samych cieni, samej mgły do koła siebie".

Sens moralny powieści tak: Natura nie wsadza nikomu na nos zadymionych okularów. Rozumiemy pesymistów śród Ikarów, co nie mogli dolecić do słońca, albo wśród Syzyfów, co bryłę swą w krwawym znoju toczą pod górę i patrzą jak im się ciągle na dół stacza, ale pesymizm w roju tych much ludzkich, co tylko latają, brzęczą i łasują z dnia na dzień — to moralne charłactwo.

Autor przypuszcza, że gdy nie miał sił, ani środków do dopięcia tego, czego pragnął, możeby został pesymistą, ale tylko względem siebie samego, nie względem drugich. Nie straciłby wiary w innych, w świat cały i nie twierdził, że tak samo musi się przewrócić jak on.

Gawalewicz włada piórem jak maestro batutą, umie trafnie podpatrzyć, a jeszcze piękniej odmalować gładką platformę życia, po której toczą się jego pierścienie twórczości, jak kula bilardowa, ale i w tem najmłodszem dziecięciu nie zapuszcza się w głębiny duszy. Opukać piersi i żołądek, wysłuchać czy tam co nie skrzypnie w płucach, czy co nie siedzi w żołądku, to lada pismak potrafi, ale wziąć za puls istotę moralną, zauskultować organizm duchowy, zapuścić sondę aż na samo dno duszy ludzkiej — oto zadanie, o które pokusić się może i powinien pisarz takiej miary i wziętości jak autor »Jednoaktówek".

H. B.